Tom XVI. Nr. 7.
1. marca 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Św. Jan Kanty.

Dziwnie to słodkie sercu pamiątki naszych Świętych! Niby rosa chłodzą one smutek naszych dusz, niby gwiazdki świecą na tem naszem łzawem polskiem niebie, niby kwiaty wonieją nam wonią rajską, że radzibyśmy pójść za tą wonią. Mnogo było świętych synów tej naszej drogiej ziemi, mnogo ich tam w ojczyźnie niebieskiej jaśnieje przedziwnem światłem i wstawia się za ojczyzną ziemską i dolą rodaków smutnych lub grzesznych — mnogo też wyproszą nam, jak Bóg żywy! tylko naśladować ich nam trzeba i tak ukochać Pana Boga, bliźnich i kraj, jak oni kochali.

Zastęp to tam nieprzejrzany: królowie, biskupi, kapłani, męczennicy, panienki, żołnierze, a wszyscy to nasi rodzeni Święci! Św. Stanisław biskup wsławiony cudami, co wylał krew swoją za prawdę i miłość; Kunegunda królowa, polskiej soli cudowną dawczyni; Jacek kaznodzieja po wodach jak po suszy chodzący, co słowem Bożem napełnił powietrze na swej ziemi; Bronisława, zakonniczka biała z Bogiem rozmawiająca,

której grób pszczółki wykryły cudownie; Bobola i Józefat umęczeni od szyzmatyckiej dziczy, z których kościół św. świeżą a śliczną przybrał ozdobę; Żurawek, pracownik leśny, co go krzepili anieli; Szymon z Lipnicy, wiejskiej strzechy święte dziecię, i tysiąc ich z Litwy, Rusi, Polski, i tysiące ich, Bogu tylko znanych, za wiarę w bojach poległych, umęczonych po Sybirach, od wieków aż do dni naszych!...

Zaprawdę hufiec mnogi — zda się z nim wszystko przemożem, a wszystko przemożem z modlitwą, z pracą, z ich przykładem, z wielką wiarą, serdeczną miłością, wielką grzechu nienawiścią. Choć nam niekiedy ciężko, smutno, choć niedola nas gniecie, nie traćmy siły, może nam Bóg zsyła doświadczenie, aby nas oczyściło jak ogień złoto!

O wielu już z tych naszych kochanych Świętych czytaliście na tych kartkach, bo po Bożemu poczynamy i do Boga ten nasz żywot z wami skierować byśmy radzi. Czytaliście już i o św. Janie Kantym, co to z ubogiego chłopięcia w miasteczku Kentach, został wielkim sługą Bożym, mistrzem przy akademji krakowskiej, zadziwiał świat i Polskę czystością żywota, nauką i mądrością, umartwieniem i pokorą, a dziś patron uczącej się młodzieży króluje w niebie; czytaliście o wdzięcznych jego dziełach, jako dziewusze pobożnej przemienił swoją modlitwą wodę na mleko, jako odarty od zbójców w lesie zapomniał im wyznać, że ma jeszcze pieniądze przy sobie i nie chcąc kłamać powrócił do nich i oddał, co posiadał. Znacie go już, tego miłego patrona waszych dziatek, miło wam więc będzie jeszcze o nim usłyszeć, a do serca jak do skarbca składać święte pamiątki na przestrogę w życiu i ducha uweselenie.

Weselą się ludzie rozmaicie i przy kieliszku i w swawoli, ale wesołość to fałszywa, bo wtedy płacze ich dusza, co stworzona szlachetnie, płaczą ich anieli, co głosem sumienia odpychają nie raz od złego, płacze ta ojczyzna uciśniona, co synów swych potrzebuje, aby ją dźwigali z grobu i smucą się ci, wielcy święci Patronowie polscy, którzy błagają u Boga o cnotliwe pokolenie polskie.

Weselmy się inaczej — najpierw pokój w sumieniu, łaska z nieba, potem uczciwa praca, miłość rodzinna — a i książka nie lada co — bo to niby zdrowa strawa. Słuchajcież.

Było to w czasie, kiedy na tronie siedział Kazimierz Jagiellończyk, król łagodny i prawy, drogiego Polsce i Litwie rodu. U tronu rosło sześciu królewiczów pod dozorem zacnego Długosza i pięć dzieweczek nadobnych; wszystko śliczna nadzieja dla Ojczyzny, dla kościoła. W tem gronku uchował się liljowy kwiat Jagiellońskiej korony, ów młodzieniaszek święty Kazmierz, co jako najprzedniejsza perła, najpierwszy upodobał się Bogu i Marji przeczystej; ztamtąd wyszli pobożne króle Polsce i okolicznym krajom, a świat cały zazdrościł Polsce Jagiellońskich synów, ztamtąd pochodził ów król Zygmunt przesławny, pod którego berłem zakwitła złota Polski dola; i owe Jagiellonki zakonnej cnoty.

Przy boku króla poważna i kwitnąca królowa, dzieliła trud rządów i dziatkami rządziła. Wówczas to już św. Jan Kanty zasłynął był nauką i cnotą, a Kraków cały czcił słowo jego i przykład święty, lubo sługa Boży nie trzymał o sobie z pokory na włos więcej od najlichszego.

Królowa posłyszawszy o Janie, a skora zawsze poczcić święte osoby, zapragnęła aby jej synowie mali mogli z tak szanownych ust słyszeć wykład Pisma świętego, i pewnego dnia wysłała do niego pacholę, prosząc aby nazajutrz o ósmej godzinie z rana przybył do dworu, albowiem sama z synami czekać będzie na jego święte słowa. Powstydził się tem poselstwem cichy Jan, ale posłuszny wezwaniu przyrzekł przyjść o naznaczonej godzinie.

Nazajutrz wstawszy o świcie, po długiej modlitwie i z Bogiem rozmowie, wyszedł nasz święty nauczyciel krocząc ku Zamku królewskiemu; wszakże mijał kościół, światła zapalone i organ rzewny zatrzymały i serce i kroki Janowe — nie mógł minąć, bo już tam tej duszy do Boga i rzeczy Jego miało się najgoręcej — wszedł i ukląkł, a modlitwa czysta z najświętszą ofiarą leciała do nieba kadzidłem. Zadzwoniono już na Sanctus, i w tem ósma uderzyła z wieży — ale nie wstać było świętemu i zostawić połowę ofiary, łza tylko za-

świeciła w oku, a schyliwszy się do ziemi, mszy św. słuchał do końca. Wiara niewinna, jak u małej dzieciny, była w nim że go msza św. nie opóźni.

Gdy xiądz odspiewał zakończenie, Jan gorąco podziękowawszy Bogu, wyszedł spiesznie i biegnąc na zamek patrzał w wieżycę, czy daleka już godzina. Aleć niebawem u skrętu ulicy spotkał staruszka nędznego i słabego, który drżąc od zimna, a listopadowe było to zimno, w dziurawej kapocie, o kiju i bosy po śniegu i błocie deptał powoli, i drzącym głosem odezwał się z płaczem.

— Ojcze zlitujcie się nademną, dajcie obówie jakie, bo z zimna i bolu iść już nie mogę. Zlitujcie się nademną!...

Stanął Jan św., boleść scisnęła jego serce widząc staruszka w takiej poniewierce, sięgnął do sakwy ale nie miał ani szeląga a tu drzący starzec prosi oczyma i wyciąga skośniałe ręce! O! Jan nie opuścił nigdy biednego, a serce jego rozpływało się nad niedolą bliźniego. Cóż czyni? Oto rozwiązuje szybko rzemyki od swoich trzewików i zdjąwszy je daje biednemu starcowi. Wtem dziewiąta bije z wieży, Jan pożegnał starca i spieszy do zamku. Minął jeden i drugi dziedziniec, wchodzi do przedsionka, ale zdziwione sługi nie chcą wpuszczać bosego księżyny w progi królewskie. Daremnie Jan prosi, aby go do króla zawiedli, gawiedź nie słucha i szydzi z świętego, a niektórzy grożąc kijem wypędzają go za próg. Spokojnie znosi Jan zelżywą zniewagę, jakby zasłużył na nią, a w tem gdy go za drzwi wypchnięto, podwoje królewskie otwarły się z trzaskiem, i weszła w blasku, stroju i urody królowa z córkami i z gronem pokojowców; właśnie z różańcem w ręku szła do kościoła i schylone oko wiodła po ziemi, a myśl gotowała przed oblicze króla niebieskiego.

Usłyszawszy wrzawę stanęła, a widząc w progu obcego człowieka, zrazu niepewną się zdała, a potem zapytała skromnie.

— Może to wy ojcze przychodzicie do mnie?

Jan stwierdził to zapytanie wymawiając się z cicha, że spoźnił się mimowoli i prosi o przebaczenie. Na to królowa wesoło zawołała! „A witajcież mi czcigodny Janie! czekałam was z upragnieniem i dziękuję Bogu, że zagościliście w progi

nasze!“ To mówiąc podała rękę Janowi i wśród zdumiałego dworu prowadziła bosego kapłana do króla przez złote komnaty; z czcią rozstępowali się sługi, król powitał go mile. Natchnione słowa jego padały plennie w serca królewiców, zuchwalcy do nóg bosych skłonili się o przebaczenie, a jasna pokora w słodkim uśmiechu świętego świeciła.

Odtąd już nie szydzono z ubóstwa, a dobroczynne dzieła Kantego czczono w Krakowie i Polsce. Dla nas zaś święta nauka że zasługa, cnota, otwiera ubogim nawet i bosym stopom wstęp u podwoji szlachetnych i poczciwych braci i wzbudza uszanowanie u nich dla ubóstwa i pracy, a i wstęp do Nieba otwiera pokornym między owe wielkie króle i jasne śliczne pany u tronu Króla nad Królami.

Spiewka prawego człeka.

Czegoż trzeba mi na świecie
Nad to, co już mam od Boga?
Mam dziateczki zdrowe przecie,
Przy nich rządna żona droga...

Chatka moja nie uboga,
I o nudach się nie duma —
Prosta do mnie wiedzie droga —
Toć z niejednym człek się kuma.

Biedny znajdzie kąsek chleba,
Toć pomodli się w kościele;
Jest gościnność, jeźli trzeba,
Mam na tyle, że obdzielę.

Dla chorego serca stanie,
Człek odwiedzi, poratuje;
Nad sierotą zmiłowanie...
Bo tak Stwórca nakazuje.

Jest i konik i stodółki
I ogródek koło domu;
W ulach roją się mi pszczółki —
Nie zazdroszczę więc nikomu.

Nie pragnę też zostać panem,
Dla mnie to myśl jakaś zdrożna;
Ja się cieszę moim stanem —
W blasku serce stracić można.

Kto się wznosi za wysoko —
To się bardzo często zdarzy:
Że upada wnet głęboko;
Tak przynajmniej mówią starzy.

Józef z Bochni.

Piękne przykłady.

Syn góralski.

Był niedaleko Sącza w wiosce górskiej Susza, poczciwy i zacny góral Kozik; miał ubogą chatę na końcu wsi, trochę górskiej ziemi i pracował ciężko na kawałek chleba. Pan Bóg postanowił doświadczyć go wielkim smutkiem i zabrał z tego świata jego kochaną żonę, właśnie gdy powiła mu syna.

Biedny ojciec pochowawszy za ostatni grosz tę, co mu była towarzyszką pracy, biedny i strapiony łzami skropiwszy świeżą mogiłę, wrócił do pustej chaty, a płacz dziecka rozdarł mu serce. Przytulił je do piersi i płakał rzewnie, powtarzając:

— Biedna sierotko! cóż poczniemy teraz!

Ale ojciec niebieski nie opuszcza nigdy biednego; góral hodował swoje dziecię, brał ze sobą na robotę, kołysał i pracował, aby wyżywić, okryć. Mały Janko chował się zdrowo, powietrze zdrowe naszych gór zahartowało mu siły, wkrótce śmiał się do ojca, niebawem biegał za nim po górach, a góral cieszył się nim, kochał go serdecznie i żyć nie mógł bez swego Janka.

Janko był chłopak dobry, łagodny, usłużny, pracowity, a przytem zmyślny i pojętny. Kozik umiał trochę na książce i wyuczył Janka czytać, a widząc jak chłopak z ochotą bierze się do książki, ciekawie pyta o wszystko, a smakuje nawet więcej w książce jak w czem innem; zapytał go raz wziąwszy na kolana:

— Możeby ty chłopcze chciał pójść do szkoły?

— Oj chciałbym tatulu! — odpowiedziało chłopię przymilając się ojcu.

Góralowi stanęła łza w oku, przycisnął dziecko do siebie, a nazajutrz szedł z Jankiem do Sącza. Biedny był Kozik i nie miał za co uczyć Janka — kochał go tak bardzo, że żal mu było strasznie dać go od siebie, ale ufał w Bogu, nauki się nie bał dla swojego dziecka, bo wierzył, że to dziecko wychowane pobożnie nauczy się rzeczy potrzebnych, że nie będzie się wstydziło swego ojca — uważał zaś za jakiś znak Boży ochotę

dziecka i zabrawszy całego majątku swego 5 złr., szedł do Sącza, aby go do szkół oddać.

W miasteczku przypytał domek, gdzie z wielką prośbą przyjęto Janka za 5 złr., a za miesiąc kazano znowu tyle przynieść. Kozik pożegnał z bolem swojego Janka, pobłogosławił i Bogu oddał w opiekę a sam wrócił do swoich gór. Janek płakał także za ojcem, za chatą, za górami, do których przywykł jak orzeł do gniazda skał, ale uczył się dobrze i lubiono go w domu i szkole.

Podwoił pracę poczciwy Kozik, aby mógł chłopca utrzymać w szkołach, odwiedzał go czasem i przynosił placka i cieszył się z dobrych zaświadczeń; tylko smucił się nieborak, jak też dalej pokieruje chłopca, gdy skończy 3 klasy w Sączu. Czas ten nadszedł, Janko zdał pięknie egzamin i powrócił do chaty ojca, pobujać trochę po swoich kochanych górach. Żal było strasznie ojcu, żeby dalej nie uczyć takiego zmyślnego chłopca i frasował się nie raz długo wieczorami o czem też poprowadzi go dalej, gdy taki biedny.

Jakoś się jednak krzepił zawsze otuchą i ufał w Bogu; woził on często z drugimi góralami deski aż do Krakowa i znał po trosze to nasze stare królewskie miasto.

Pewnego razu nabrawszy desek, wziął ze sobą Janka i wyruszył do Krakowa. Janek dawno wzdychał do Krakowa i rad go był widzieć, ucieszył się też bardzo i poganiał konikami. Przyjechawszy do miasta, chłopiec zgubił oczy i nie mógł się napatrzyć wszystkiego; na targowicę gdy zajechali, odszedł od ojca i ciekawie rozglądał się wszędzie, zaszedł nawet w ulicę myśląc, że tą samą wróci, ale uszedłszy kawałek, zrobiło się kilka ulic, a on przypatrując się na wszystkie strony, szedł i szedł aż obłąd go jakiś chwycił i nie wiedział, którą ulicą wracać.

Chłopczyna zabłądził w Krakowie — nareszcie płakać zaczął i szukał ojca daremnie. Bóg już tak chciał, aby się tego dnia nie znaleźli, bo i ojciec spostrzegłszy się, naszukał się go niemało — nabiegał się zadyszany i napłakał, aż nazajutrz zgryziony biedny góral powrócił próżnym wózkiem modląc się do Boga o znalezienie swojego dziecka.

Tymczasem Janka wieczorem stojącego smutnie pod kamienicą, zauważał stróż z tejże kamienicy Antoni, poczciwego serca człowiek i usłyszawszy od góralskiego dziecka co mu się przytrafiło, zlitował się i zaprowadził go do swej izdebki, gdzie była jeszcze żona i dwa małe chłopaczki i dziecię w kołysce.

Bóg czuwał nad Jankiem! Dobrzy ludzie posilili go i zaczęli się wypytywać o wszystkie szczegóły jego życia, pocieszyli go, że nie ma czego płakać, bo łatwo go ojcu, góralowi z Suchy oddać mogą. Podobało się im chłopiątko, zwłaszcza gdy usłyszeli, że już nie głupie, trzy klasy skończyło, że biedne i sierota!

Janek już nie spał smaczno pod piecem a Antoni ze żoną jeszcze coś radzili. Nazajutrz rano Antoni powiedział Jankowi, że jeżeli chce pomagać mu koło kamienicy i uczyć jego małe bębny, to on mu wyrobi u swego pana, że go przyjmą do szkół wyższych, a u niego mieszkać i jeść będzie.

Janek się ucieszył ogromnie — żal mu było ojca, ale wiedział że i on się ucieszy, napisał więc do niego donosząc o wszystkiem, a Antoni podjął się list wysłać. Dziękował wkrótce Bogu stary Kozik za cud jego opatrzności a Janek cieszył się, że ojciec za niego już płacić nie będzie. Zabrał się do pracy, umiatał podwórze, czyścił buty, dzieciaki uczył, a sam uczył się pilnie i chodził do szkół.

Bóg mu dopomagał, dostał niedługo inne małe lekcje, za które już dostawał małą nagrodę, a co za radość była, gdy pierwszy raz posłał ojcu trochę pieniędzy przez siebie zarobionych! Jak szczęśliwy był, że już nie cięży ojcu, że mu jeszcze pomódz może! O nie dziw, że Bóg błogosławił Janka, bo Janko był dobrym synem! Jak minęło lat kilka — Janko szczerze pracował i o własnych siłach piął się dalej, a Kozik starzał się i modlił za syna.

Janko wyrósł już na młodzeńca — koledzy go kochali i szanowali, profesorowie cenili, bo był obyczajny, skromny, poczciwy, pilny i zdatny. Miewał znaczniejsze lekcje, z których się utrzymywał i ojcu posyłał, i ukończył pięknie szkoły wyższe.

Miał zamiar iść na prawo i sposobić się na urzędnika, ale wkrótce odmieniły się te myśli młodego w dziwny sposób. W jednym domu obywatelskim gdzie uczył synka, była śliczna i dobra jak anioł panienka, siostra tego chłopczyka — ale biedna, bardzo biedna — bo ślepa! Młoda 16letnia dzieweczka, roskosz rodziców, bogata, piękna, była przecie bardzo biedna, bo nie widziała. Niedawno już się to nieszczęście przytrafiło, po niedługiej słabości na oczy oślepła, a najbieglejsi lekarze nic jej pomódz nie mogli.

Wielki smutek był w domu rodzicielskim. Janko często widywał młodą kalekę, a że mieszkał w ich domu za naukę syna, więc i czytywał jej głośno książki, bo wszyscy jak mogli bawili biedaczkę, bolał widocznie nad jej młodością i kalectwem — a nawet serce jego żywe i niewinne, zabiło goręcej do dobrego dziewczęcia.

Panienka chociaż go nie widziała, lubiła głos jego, najmilej jego czytania słuchała i także polubiła młodzieńca. Janko choć syn prostego górala był szacowany i mile widziany w domu państwa, był ich przyjacielem i prawie należał do rodziny; uczuwszy jednak w sercu swojem miłość dla bogatej panienki, posmutniał, bo gdzież mu było myśleć o takiej żonie, a do tego ona była ciemna — dałby pół życia aby jej wrócić wzrok i światło dnia bożego.

Smucił się ciężko Janek — aż coś tam zaświtało w młodej duszy — jednej nocy zebrał wszystkie swoje manatki i opuścił dom swoich zacnych przyjaciół nie mówiąc nikomu, dlaczego i gdzie idzie. W dwa dni był w chacie starego ojca, który już posiwiał jak gołąb, ściskał nogi jego i prosił błogosławieństwa na drogę.

Potem poszedł w świat i znikł. Nikt nie wiedział, gdzie się obraca.

Pięć lat minęło. Nie raz dumał tęskno stary ojciec w chacie, nie raz zatęskniła ciemna panienka w pokojach swoich, Janka jak nie było, tak nie było. Razu jednego przyszły Gazety do Krakowa donosząc z Wiednia, że pan Jan Kozik został doktorem medycyny w Wiedniu, że sławny już jest przez swoje wielkie

praktyki a szczególnie sławnie leczy na oczy i ma powrócić do kraju służyć mu swoją nauką i sławą.

Nie wierzono oczom własnym, rodzice panienki nie posiadali się z radości, że ich młody przyjaciel tak pięknie pokierował się w świecie i może potrafi co pomódz ich córce na oczy. Panienka zaś przeczuła wszystko sercem i domyśliła się odrazu, że poczciwy Janko na to został doktorem, aby jej pomódz. I czekali już wszyscy niecierpliwie przybycia tego sławnego doktora pana Jana Kozika.

Pan Jan Kozik jednak chociaż pan i człowiek poważny i sławny, był zawsze dawnym Jankiem — wróciwszy z Wiednia do kochanej Ojczyzny, do której 5 lat tęsknił, zajechał do Krakowa, a serce jego biło mocno i łzy świeciły w oczach, ludzie go zaczepiali i kłaniali się, wielu znali go już ze sławy, ale on niby nic nie wiedząc szukał, czy nie ma wózka góralskiego, aby się mógł przysiąść i polecieć do starego ojca.

Ciągnęło go ogromnie i do panienki serce i bliżej było do wsi jej rodziców jak do gór Sandeckich, ale dobry syn miał za święty obowiązek powitać najpierwej ojca i bez błogosławieństwa jego nie byłby nigdzie kroku zrobił. Nadybał wózek niedługo i pięknie ubrany pan doktor potrząsł się wózkiem góralskim po kamienistej drodze. Stary Kozik właśnie zaniemógł trochę na nogi i leżał w swojej chacie samotnej. W tem drzwi się otwierają — wpada Janko i z krzykiem radości:

— Mój ojcze, mój kochany ojcze! — ręce i nogi ojcowskie ściska i klęka z łzami przy łóżku staruszka.

Ktoż opisze radość i szczęście szanownego starca? Miał swojego Janka znowu — swojego Janka sierotkę — i już go więcej nie utraci, nie rozłączy się z nim! i ten Janko choć w pańskim stroju i człowiek znaczny, przy nogach ojca!

O jakże dziękował Bogu staruszek, jakże błogosławił syna, jakże mu się przypatrywał, jakże ozdrowiał i odmłodniał prawie, jakież tam było ciche, poczciwe, święte szczęście!

— Jakże mnie to Bóg pocieszył takim synem! — wzdychał dobry ojciec.

Długo nie mogli się ojciec i syn sobą nacieszyć; Janko jako lekarz ulżył prędko ojcu, odwiedził z nim grób matki, kościółek

stary, siwego xiędza proboszcza, sąsiadów dawnych — i góry, te drogie góry, za któremi tęsknił tak serdecznie, wśród których już umierać pragnął!

Nareszcie powiedział ojcu, dlaczego został doktorem i prosił go, aby z nim jechał do rodziców panienki, której spodziewał się wzrok wrócić swoją sztuką i aby o nią poprosił dla Janka swego. Staruszek wszystko by dla syna zrobił, pojechał z nim więc z ochotą w te dziwne swaty, a ludzie w Krakowie stawali się i patrzyli, jak pan doktor wiózł swojego staruszka ojca w góralskiej guni z uszanowaniem i radością.

Ojciec pozostał w Krakowie, a syn pojechał pierwej próbować w imię Boże szczęścia z oczami swojej ulubionej. I tam Bóg błogosławił dobremu synowi; udała mu się trudna kuracja; piękna panienka po 5 latach ciemnej nocy owidziała i najpierwej Bogu a potem Jankowi dziękowała za swoje szczęście.

Gdy już była zupełnie zdrowa — Janko przywiózł swojego siwiutkiego ojca i prosili o panienkę. Rodzice z radością i wdzięcznością dali mu ją a przy ślubie, śliczna panna młoda uklękła u nóg starego górala i ucałowała spracowaną rękę jego, prosząc o błogosławieństwo i nazywając ojcem swoim. Zapłakał staruszek, podniósł drżące dłonie, i na głowy dzieci swoich Boskiej wzywał łaski!

Jan miał sławę i znaczenie, mógł żyć w mieście, wielkie mieć majątki i wielkim być panem, ale Jan nie zapomniał nigdy, że się urodził synem wieśniaka i odrzucił świetne nadzieje wszystkie, wygody i panowania, ale postanowił żyć i poświęcić się dla ludu wiejskiego.

— Oni to — mówił — prawdziwie mnie potrzebują, oni to nieraz opuszczeni, biedni i pomocy potrzebujący, im będę pożyteczny, im służyć będę!

I przeniosł się z poczciwą żoną do rodzinnej wioski swojej, zbudował sobie domek wygodny, biały ale skromny, ojca zabrał do siebie; otoczył wraz z żoną i wnukami czcią i miłością dziecinną — stał się dobroczyńcą i pomocą całej okolicy, dom jego przytułkiem potrzeby i nędzy — a doktorska sztuka wielką opieką wiosek i bliskiego miasteczka.

Lud go błogosławił i kochał, a on wśród gór swoich żył szczęśliwy robiąc, ile mógł dobrego różnemi sposobami. Gdy Bóg powołał do siebie starego Kozika a staruszek na ręku dzieci oddał czystą duszę niebu, tysiące poczciwych górali wyrunęło na pogrzeb błogosławiąc szanownej jego pamięci i dobroci syna, a jaki taki pomyślał sobie, że dobrze jest dziecko swoje dać uczyć, kiedy takiej można się doczekać pociechy.

B. E.

Kilka uwag dla ludu wiejskiego.

Napisał Józef Ignacy Kraszewski.

Nie mało tej ziemi jest, na której Pan Bóg umieścił rodzaj ludzki, wiele jeszcze i niezamieszkanej i pustej; komu ciasno mógłby sobie łatwo kawałek znaleść i na niej pracować — a jednak ze wszystkiej ziemi ta najlepsza i najmilsza, na której się człek urodził, wzrósł i gdzie kości ojców spoczywają.

Gdyby mu kto dał najpiękniejszy raj na drugim końcu świata, zmieniłby się on w pustynię, bo każdy wzrósł sercem do swojego kąta i nigdzie mu lepiej nie będzie, jak tam, gdzie sam Pan Bóg żyć i pracować przeznaczył.

Już to znak natury niedobrej, kiedy człowiek tęskni z domu i rwie się w świat nie wiedzieć czego, sądząc, że się tam łatwiej dorobi..... i prędzej swobodnego życia dobije. Obiecując wprawdzie za górami i morzami śliczne rzeczy, bo im tam ludzi i rąk brak i radziby ściągnąć łatwowiernych, ale uchowaj Boże, aby się kto na ten lep dał złapać! Lepsza chałupa w swoim kraju, niżeli pałace na obczyźnie.....

Prawda, nieraz człowiekowi bywa ciężko, ale między swymi zawsze byle ochota do pracy, znajdzie się ratunek, gdy wśród obcych marnie ginąć można, a nikt litości mieć nie będzie.

Gdyby zresztą w największych tam opływał rozkoszach, czy go to tęsknica nie zje jak rdza? czy to go smutek nie przygnębi? czy on kiedy ojczyznę zapomnieć może? Nie wiele

w istocie człowiekowi potrzeba, byle duszę i sumienie miał spokojne, a kto pracować chce szczerze, wszędzie mu się trud opłaci.

A już jeżeli komu Opatrzność swój własny zagon dała — powinien go strzedz i pielęgnować jak oka w głowie, aby go nie stracił, bo ziemię postradać bardzo łatwo, ale ją nabyć codzień trudniej. Wiedzą to dobrze ci, co na naszą są tak łakomi, że ją gotowi przepłacić, byle do rąk dostać.

I my ten rozum mieć powinniśmy, aby dar ów Boży szanować i zachowywać.

Jakiż na to sposób? spytacie. Bardzo prosty: praca i oszczędność. Co się pierwszą zarobi, to druga zachować powinna. Bogactwo wszelkie niczem innem nie jest, tylko oszczędnością i zachowaną pracą. Gdy człowiek więcej zjada niż zarobi, oczywiście sam siebie, to jest majątek i ziemię spożyje marnie, gdy mniej potrzebuje niż zapracowywa, zostaje mu zapas na jutro.... Wie to każdy, choć nie każdy pilnie na to baczy.

A no powiadają — kiedy mi się nie szczęści! pracuję, biedują, a nie rodzi się i nie wodzi

I na to też jest rada pierwsza: Kto z Bogiem, to i Bóg z nim, aby na łaskę i opiekę Opatrzności zasłużyć, druga, aby pracować umiejętnie.

Rola i gospodarstwo zdają się rzeczy proste, a wszelakoż trzeba umieć i wiedzieć jak sobie z niemi poczynać.

Dawniej z prosta wszyscy sobie gospodarzyli, ziemia była tańsza, podatki mniejsze, wszystko nie tak drogie, dziś już to staroświeckie gospodarstwo nie starczy. Drudzy z ziemi ciągną wielkie zyski, dlatego drogo gotowi płacić. Musi więc każdy pilno i zabiegle gospodarować, aby tamtym wydołał i nie upadł.

Nie śmiejcie się też, gdy wam powiem, że gospodarstwa i z książki uczyć się potrzeba.

Dawniej tego prawda w książkach nie bywało co dzisiaj, bo uczeni się nie zajmowali ani ziemią, ani ziarnem, ani wodą, ani nawozem i t. p. Dzisiaj kiedy to wszystko poczęto brać na rozum a rozbierać, podochodzono takich rzeczy, które bardzo dla gospodarstwa są przydatne.

Każdego nawet ziarna wiedzą naturę, na jakim ono gruncie siedzieć lubi, jak się ono najlepiej pożywia, co mu szkodzi; dlatego prędzej się człek czego z książki dowie niż sam dojdzie: boby siła czasu na to potrzebował. A tu gotowa rzecz.

To też w Niemczech i po innych krajach nie ma gospodarza i chatki, gdzieby jakiej gazety rolniczej lub pisma nie było..... a gdy przyjdzie wieczór wolny, albo święto i niedziela, czytają wszyscy i uczą się i próbują co napisane, a dobrze im się z tem dzieje.

Tak z pomocą Bożą i u nas być powinno, żeby też wieśniak polski miał każdy nietylko książkę do nabożeństwa i kalendarz, ale też i swoje pismo, któreby mu do domu przynosiło wiadomości, co tam na świecie drudzy rolnicy robią. Z serca też tego życzymy i radzimy wam, abyście przez miłość dla tej ziemi swojej oświecali się i uczyli i nie dawali obcym prześcigać.

Dał Bóg polskiemu rolnikowi taki rozum i takie serce, że gdyby tylko chciał, a Opatrzność pobłogosławiła, żadenby mu nie zrównał. Jeno pracy i wytrwania, a wszystko będzie dobrze!

RÓŻNOŚCI.

Jacy to poczciwi i sumienni byli nasi ojcowie. Koło Sędomirza za naszych lepszych czasów, wieśniak imieniem Franciszek przyszedł wieczorem na łąkę, gdzie kosił Szymon. „Przyjacielu“ rzecze do niego, wiesz dobrze że ta łąka jest między nami w sporze, i nie wiemy jeszcze do kogo będzie należeć. Uwiadomiłem sędziów, aby jutro rano w Sędomirzu roztrzygnęli nasz spór, musimy więc jutro rano pójść razem. — „Widzisz mój Franciszku, odrzekł Szymon, że już większą część łąki skosiłem; muszę jutro gromadzić siano i nie mogę pójść na żaden sposób.“ — „A ja znowu nie mogę odmówić sądu kiedym sobie ten dzień obrał; zresztą trzeba już raz wiedzieć, czyja będzie łąka przed odbiorem siana.“ — Spierali się oba jakiś czas, nakoniec Szymon rzekł do Franciszka: „Wiesz co zrobimy? Idź jutro sam do Sędomierza: przełóż sędziom moje i swoje prawa, a tak uwolnisz mię od drogi.“ Zgodzono się na to; Franciszek stawił się do sądu, mówił za sobą i przeciw sobie; popierał mocno i swoją i sąsiada sprawę, a po zapadłym wyroku powraca do Szymona i mówi: „Są-

siedzie, ta łąka należy do ciebie, tak sąd osądził a ja ci przychodzę powinszować wygranej.“ — Przy dzisiejszych brzydkich procesach, krzywdach, pieniactwach, jakże ma Bóg błogosławić ludziom.

Loterja. Często gęsto zdarza się na wsi, że ktoś lubi na loterję postawić — ze snów wróży sobie różne numera, a czasem i wygra coś. Znałem nawet chłopa, już nieboszczyk, co raz wygrawszy na lotetję, stawiał całe życie po parę i po kilkanaście groszy, ale nigdy nie wygrał więcej a sto razy przegrał to co wygrał, i wielki był biedaczysko. Póki żył, żona i dzieci z głodu ginęli, chociaż to chłop, głowa i podpora w domu, zarabiał dość pracowicie, rzadko kiedy się upił — a przecie nie było nigdy grosza; a on w sekrecie wynosił do miasta i na loterję stawiał; dopiero po śmierci jego, żona się trochę otrzęsła z biedy i żyje sobie teraz ubogo ale nie cierpi głodu i nie ma długów. — Zdaje się to fraszka ta loterja, a tymczasem to także złe wielkie, bo jak pijak do wódki, przywyka nierozważny człowiek do niej i obałamuca rozum; zdaje mu się że koniecznie wygra wielkie sumy i klepie nędzę aby tylko postawić na loterję; tymczasem traci i traci grosz po groszu, sumy nie przychodzą, a on może do nieszczęścia wielkiego przyjść. Grzech też to kusić tak Pana Boga i chcieć bez pracy, bez zasługi dostać pieniędzy i szczęścia; nie podoba się taka chęć Bogu i nie błogosławi takim ludziom. — Można też w świecie widzieć często, co za nieszczęścia sprawia ta loterja. Nie dawnemi laty, pan jeden we Lwowie, znaczny urzędnik przy jednej kasie, człowiek uczciwy i uczony, rzucił się do tej namiętności nieprzymierzając jak pijak, stawiał wielkie pieniądze na loterję, a gdy mu nie stało, zaczął tajemnie brać setki i tysiączki z kasy — a szaleństwo go jakieś opanowało, że koniecznie wygrać musi i wszystko to wtedy odda rzetelnie; ale nie tak się stało, przegrywał zawsze. W kasie postrzeżono wielkie braki, nieszczęśliwy człowiek wykryty był, rodzina w gorżkiej boleści pogrążoną została, niesława i hańba uczciwe nazwisko okryła, a on sam dotychczas w więzieniu pędzi lata młode i siły, które mógł użyć na tyle dobrego.

Teraz niedawno młody jeden człowiek, syn ubogiej ale zacnej bardzo rodziny, ożeniwszy się przed dwoma laty i mając już dziecię jedno, pracował jak mógł na utrzymanie uczciwe, miał powszechnie szacunek i sławę porządnego, prawego człowieka, i z wielką radością rodziny, otrzymał już stałą posadę, objął urząd w małem miasteczku, kupił sobie dworek i ogród i żył sobie spokojnie, a rodzice staruszkowie, którzy dużo młodszych dzieci mają, dziękowali Bogu, że choć jedno dziecko ma chleb. Tymczasem nikt nie wiedział, ani się domyślał, że ów młody człowiek wpadł w nieszczęśliwą namiętność loteryjną; strzegł się bowiem pilnie wydać się przed rodziną i znajomymi; stawiał w ostatnim roku każdego ciągnienia i przegrywając ciągle, zamiast się opamiętać, za-

pałał się coraz więcej, uroiwszy sobie, że musi nakoniec wygrać; napożyczał do tysiąca reńskich, a gdy właśnie ostatniemi czasy wierzyciele nacisnęli, wszystko się wykryło, biedak stracił posadę i dworek, co tylko miał zabrano, żona z dzieckiem musiała odjechać do swoich rodziców bardzo ubogich, gorzko płacząc; staruszkowie zacni rodzice samego szaleńca, w rozpaczy daremnie ściągają co ciężką pracą zapracowali dla swoich córek, daremnie proszą i płaczą a siwe włosy poniewierają, syn ich bez chleba, bez dachu, grozi mu więzienie — a przychodziły mu straszne chwile, że sobie chciał życie odebrać. Otoż skutki nieszczęśliwe loterji. Chłop umarł w nędzy i dopiero śmiercią swoją dobrze zrobił znędzniałym dzieciom; pan jęczy w więzieniu; uczciwy mieszczanin zatruł życie tylu istotom kochającym go i poczciwym — a z Bogiem się jeszcze pojednać mu trudno.

Mądra gęś. Jedna Gazetka pisana dla pań i gospodyń, co się nazywa „*Kalina*“, opowiada pocieszną rzecz: Pewien biedny młynarz aż w Anglji, kraju za morzem, wychował sobie razem gęś i kurę. Jak już dorosły, młynarka nasadziła kurę na kacze jaja, a pozostawiona sama gęś, szukała dla siebie zabawki spacerując po stawie. Gdy się kaczęta wykłuły, kura pyszna z swojej familji prowadziła je na spacer, a widząc zdała na stawie swoją przyjaciółkę, poszła na groblę, aż tu kaczęta zobaczywszy wodę, dalejże na staw. Przestraszona ogromnie troskliwa matka zaniosła się od żalu, na co gęś zbliżyła się do brzegu, poczęła gęgać, jak gdyby uspokoić chciała swą przyjaciółkę, że dziatwę bierze pod swoją opiekę i popłynęła z kaczętami. Tym spodobała się oczywiście wodna wycieczka, a na drugi dzień jak tylko je kura wodzić poczęła, poszły na staw. Biedna kura tak znowu bardzo gdakała, że rozczulona gęś przypłynęła do brzegu, poczęła gęgać i skrzydłami ruszać i namówiła kurę, aby wskoczyła na jej grzbiet; dopiero tak ją za kaczętami powiezła. Tak jezdziła codzień kura po stawie na gęsi, aż póki kaczęta nie podrosły.

Przypowieści.

Najbliższą jest anioła dusza w ludzkiem ciele,
Gdy nieszczęsnym pociechę niesie i wesele!

Prawy człek w swej ojczyźnie kocha Stwórcę świata,
Miłując czystą cnotę — występkiem pomiata!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.